

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.

1/2 " — 40 "

1/4 " — 20 "

1/8 " — 10 "

WSPÓLNE NIEBEZPIECZEŃSTWO.

Wdzięczność się należy prof. Janułajtisowi za temat, poruszony przezeń w odczycie, wygłoszonym w Kownie. Nigdy nie jest zanadto przypominać o niebezpieczeństwie, grożącym wszystkim państwom powstałym na gruzach byłego imperjum rosyjskiego ze strony tejże Rosji, chociaż przekształconej w związek sowieckich republik.

Sądzymy nawet, że niebezpieczeństwo to jest większe obecnie, niż było by wtedy, gdyby Rosja się odrodziła jako państwo narodowe. Mimo, że w polityce decyduje tylko siła i interes, nader rzadziej zdarza, aby rządy odstawiały cynicznie i brutalnie właściwe pobudki swoich działań; zwykle starają się je upozorować względami wyższej natury, wynaleźć jakiś pretekst usprawiedliwiający ich bezwzględne i egoistyczne stanowisko. Rosja burżuazyjna, związana ekonomicznie, duchowo i formalnie z całą Europą i wogóle światem cywilizowanym, musiałaby się liczyć z opinią i interesami innych państw i swe instynkty zaborcze miarkować i hamować. Natomiast Rosja komunistyczna, odosobniona a nawet bojkotowana, nie potrzebuje się oglądać ani na Europę ani na Amerykę i w swej polityce może się kierować wyłącznie własnym widzimisię. Dla pozyskania zaś dla swych ewentualnych wystąpień zaczepnych sympatii mas robotniczych posiada środek niezawodny: ideę komunistyczną, która, na wzór średniowiecznych haseł religijnych, usprawiedliwia w oczach fanatyków wszelkie gwałty i wymaga bezustannej walki i ofiar.

Można uważać za pewnik, że agresywność Rosji sowieckiej jest powstrzymywaną jedynie przez brak sił dostatecznych do rozpoczęcia walki z opasującym ją pierścieniem państw burżuazyjnych. Wiemy wszakże również, że siły te stale, choć zwolna się

wzmagają i że przyjdzie niewątpliwie moment, kiedy o tyle one wzrosną, że pozwolą pokusić się Sowietom o utorowanie przemocą drogi dla ekspansji nazewnątrz komunizmu rosyjskiego.

I Polska i Litwa na ogół nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa tego momentu. Polska ufając w swój system obronny, Litwa zaś polegając na traktacie z d. 12 lipca 1920 r. Tymczasem i jedno i drugie może zawieść. Polska i Litwa wiodąc ze sobą spór zacięty o Wilno, zapominają o trzecim kontrahencie, którego aspiracji względem tegoż Wilna bynajmniej lekceważyć nie należy. O ile dawniej można było siebie pocieszać, że Rosja żadnych specjalnych widoków co do Wilna nie posiada, że na tym punkcie będzie ona zawsze skłonna do ustępstw, to dziś, gdy powstała Białoruś sowiecka, sytuacja ulega zasadniczej zmianie. Moskwa występując w roli reprezentantki interesów białoruskich, będzie chciała i nawet musiała interpretować je w sensie jaknajszerszym, Wilno zaś, położone na terytorjum o ludności mieszanej, wśród której Białorusini stanowią pokaźny odsetek, nie może być obojętnem dla przyszłości narodu białoruskiego. W tych warunkach traktat rosyjsko-litewski, nawet gdyby okoliczności złożyły się pomyślnie dla jego realizacji, z łatwością może się okazać martwą literą.

Niestety wyraźna ta perspektywa wydaje się być zasłonięta całkiem dla oczu zarówno polityków litewskich, zaślepionych nienawiścią do Polski, jak dyplomatów polskich, dziecinnie pyszniących się uznaniem przynależności Wilna do Polski przez Konferencję Ambasadorów, jak wreszcie tych patriotów białoruskich, którym wcale się nie uśmiecha komunistyczna przyszłość ich ojczyzny, ale którym zrozumiałe rozgoryczenie każe dopatrywać się jedynego wroga w beznadziejnym na pozór nacjonalizmie polskim.

Do najniewdzięczniejszych zadań publicystyki

należy przemawianie w imię rozsądku i wskazywanie realnych możliwości wtedy, gdy namiętności szaleją i gdy w duszach słuchaczy znajdują oddźwięk jedynie okrzyki podniecające. Trudno zresztą wymagać od mas takiego wyrobienia politycznego, by w przewidywaniu możliwych zawodów i niepowodzeń, z góry zrezygnowały ze swych wybujałych nadziei i poprzestawały na skromniejszych rezultatach, opartych na ustępstwach i kompromisach. Nie ulega więc wątpliwości, że ani opinia litewska nie odstąpi ani na jotę od swych aspiracji do pozyskania Wilna na własność niepodzielną, ani opinia polska nie dopuści do żadnych kroków, uszczuplających w czemkolwiek obecny bezwzględny stan posiadania Polski w Wileńszczyźnie. Obie strony będą zajmowały stanowisko nieprzejednane, dopóki gorzka rzeczywistość nie przekona ich o szkodliwości upor.

Ale wówczas już będzie zapóźno.

Endecja i duchowieństwo.

W czasie dwukrotnych wyborów byliśmy świadkami ścisłego kontaktu a czasem i jawnego zbratania endecji i polskiego duchowieństwa. Podczas wyborów do tak zw. „Sejmu Wileńskiego” figurował na każdej prawie liście endeckiej sędziwy, acz zdziwiony biskup Hryniewicki. Fioletowa firma biskupa katolickiego, otoczonego aureolą męczeństwa, dała liście endeckiej pokaźną ilość posłów w owym „Sejmie”, czy jak chciano „Zgromadzeniu” wileńskim. Próba „na fiolety” udała się — usiłowano wciągnąć staruszka poraz drugi — do Sejmu warszawskiego, lecz na ten raz coś się popsulo: opinia publiczna przebakowała, że na przeszkodzie stanął Rzym...

Wtedy spróbowano kalkulacji na czarnej sutannie, lecz za tą „firmą” lud nie poszedł. Widać, że nasz luddek do fioletów jeszcze ma zaufanie, lecz do „czarnej” sutany już nie. Owszem, wybory wskazały ludowi, że najwięcej księży jest „na prawicy”, która jest synonimem obszarnictwa... A przecież „ósemka” była najbardziej prawicową i obszarniczą listą; dalej naprawo już była pustka. Cały szereg kapłanów zajmujących wybitne stanowiska: dziekanów (Lida, Wołkowysk, Miory), proboszczów w Wilnie (W.W. Świętych, Św. Ducha) i na prowincji (Szczuczyn, Mścibów, Świsłocz, Różanka, Wawiórka i t. d.) należy do Narodowej Demokracji lub ją czynnie popiera. Toż samo działa się w Królestwie.

Duchowieństwo częstokroć usprawiedliwiała swe poparcie dla endecji tem, że „przecie to jest jedyne stronnictwo szczerze katolickie i narodowe”. Kierownicy zaś nawy endeckiej usiłowali ze swej strony na każdym kroku zmanifestować swe uczucia religijne i katolickie — i, zdawało się, że harmonja pomiędzy duchowieństwem a endecją jest całkowita.

Tymczasem zdarzył się napozór drobny wypadek, który do tej harmonji wprowadził dysonans. Wypadkiem tym był projekt odebrania duchowieństwu ziemi kościelnej. Do tego projektu w znacznej mierze przyłożyła rękę endecja. I oto daje się zauważyć w działalności duchowieństwa polskiego zwrot, świadczący o otrzeźwieniu z endeckiego czadu. Rzecz zro-

zumiała, że otrzeźwienie to ma miejsce tam, gdzie było mniejsze zac zadanie — a mianowicie w Królestwie.

„Wiadomości Djecezjalne” Kujawsko-Kaliskie, wychodzące we Włocławku, nawiązując do projektu odebrania dóbr kościelnych, tak piszą:

„Należy zagrozić naszej Endecji. Według świadectwa naszych posłów-księży, Z. L.-N. bardzo tu winien. Posłowie tego Związku zajęli stanowisko niegodne, gdyż; chcąc obronić swoje latyfundja, wysunęli ziemię księży. Wysunęli z całą zawziętą bezwzględnością: zabrać kościołom wszystko, do ostatniej piędzi, ani nawet kawałka ogrodu nie zostawić, nic, tylko kościół i mieszkanie dla obsługi. A prawda... raczyli łaskawie zostawić cmentarze grzebalne! Postąpili gorzej, niż lewica, która, będąc u steru, przyznała przecie parafjom po 15 ha dla utrzymania proboszcza, organisty i służby. Związek Ludowo-Narodowy, to stronnictwo istniejące głosami i agitacją księży; bez naszej pomocy prawieby nie istniało, zwłaszcza na wsiach. Przy wyborach do Sejmu i Senatu najwięcej jeździli, a obiecywali; a gdy przyszła potrzeba, nie zawahali się zdradzić. Najbliżej ołtarza na obchodowych nabożeństwach siadają, a w danym wypadku nawet dla przyzwoitości Konkordatem się nie zastawili. Tyle ziemi jest w wielkopańskich fortunach, a jeszcze przedtem tyle ziemi w majątkach rządowych i donacyjnych, u różnych sprzedawczyków żydów i niemców, częśćka tego narazie by starczyła. Nie było więc racji rzucać się na własność kościelną i jeszcze w tak złośliwej, bezwzględnej formie. Swój występkiem wrogiem Zw. Lud.-Nar. *popycha duchowieństwo w kierunku partyj zupełnie ludowych.* Zjazd duchowieństwa każdego dekanatu winien po wspólnej naradzie ułożyć we właściwej formie protest przeciw stanowisku w danej sprawie Zw. Lud.-Nar. i takowy przesłać do miejscowej powiatowej organizacji, do posłów z danej okolicy, Klubu Sejmowego, czy głównego Zarządu. W proteście winno się zawierać i potępienie ich czynu i zagrożenie odstąpieniem od Związku, jeśli stanowiska nie zmienią i do wrogich Kościołowi i duchowieństwu uchwał dopuszczą. Poważne protesty muszą swoje zrobić i napewno do postanowienia pobudzą.

Pamiętajmy wciąż, że my, księża, solidarnie występując, mamy siłę w rękę; bez nas lub wbrew nam endecja na prowincji nic nie wskóra. Oni o tem wiedzą i muszą się z tem liczyć“.

Podany tu wstęp z artykułu, podpisanego przez ks. W. Pogorzelskiego, już nawet próbuje *grozić...* Artykuł ten nabiera jeszcze poważniejszego znaczenia, jeżeli uprzytomnimy sobie, że „Wiadomości Diecezjalne” są oficjalnym organem Kurji, a więc mają aprobatę władz wyższych w diecezji. Tak więc Włocławek rozpoczyna działać — i jak widać, pierwsze swe kroki stawia dosyć śmiało. Szkoda tylko, że nie podaje w sposób wyczerpujący wszystkich przyczyn owego projektu ze strony endecji. — Przypuszczam, że obok zachowania i obrony swoich latyfundiów przez zwrócenie uwagi ogółu na obszary *swego przylaciela* — duchowieństwa katolickiego, znaczną rolę tu odegrały inne względy, a mianowicie: wzięcie duchowieństwa na pasek rządowy przez wyznaczanie mu pensji — wtedy duchowieństwo byłoby powolniejsze na każde skinienie endeckiego rządu...

Z Mińszczyzny mamy do zanotowania głos (Przeгляд Katolicki № 16 r. b.) ks. prałata W. Czczota, członka kapituły Mińskiej. Ks. Czczot stając w obronie biskupa Zygm. Łozińskiego przed napaściami,

stale umieszczanemi w lejb-organie endecji „Gazecie Warszawskiej“, cytuje uchwały Rady Naczelnej stronnictwa Narodowo-Demokratycznego z dnia 16 czerwca 1907 r. w sprawie tworzącego się „Związku Katolickiego“. Uchwały te tchną nienawiścią nawet do związku *czysto katolickiego*. Treść ich jest następująca:

1) „Rada Naczelna uważa za szkodliwe tworzenie organizacji w kierunku polityczno-społecznym z zabarwieniem ściśle — katolickim, dążącej do objęcia całego narodu i uznaje konieczność przeciwstawienia się takiej organizacji. Uważa za potrzebne wyjaśnienie w prasie właściwego stanowiska kleru wobec ruchu politycznego i piętnowania antynarodowych wystąpień kleru“. 2) „Uważa za stosowne polecić zarządom dzielnicowym, aby zwracano uwagę na działalność Związku Katolickiego i przeciwstawić mu się tam, gdzie występuje jako organizacja polityczna lub ze *szkodą interesów narodowych*“.

Tak więc, dodaje od siebie ks. Czczot, stronnictwo Narodowo-Demokratyczne zaledwie wówczas kiełkujące, przyznaje sobie monopol patriotyztu oraz piętnowania kleru katolickiego, jeśli on inaczej miłość ojczyzny pojmuje.

Te słowa w ustach ks. Czczota, który jest gorącym patriotą polskim, są bądź co bądź znamienne.

Taktyka endecji w stosunku do kościoła i kleru katolickiego nie jest jakimś chwilowem zjawiskiem, ma ona podłoże mocne i trwałe, oparte na *programie* endecji.

Mam przed sobą broszurkę, skreśloną przez jednego z filarów endecji Zygmunta Wasilewskiego pod tytułem „Demokracja Narodowa. W dwudziestolecie programu stronnictwa“ (1897 — 1917), wydaną w Petersburgu r. 1917 nakładem grupy D. N. na wychodźstwie. W tej broszurze zamieszczony jest program Narodowej Demokracji (dzisiejszego Związku Ludowo-Narodowego): w tym programie w paragrafie dziewiątym jest ujęty stosunek stronnictwa do Kościoła Katolickiego. Podaję go całkowicie:

9. „Uważając Kościół rzymsko-katolicki w Polsce za *instytucję narodową*, stronnictwo demokratyczno-narodowe stawia sobie w stosunku do niego następujące zadania:

a) zapewnić mu ze strony społeczeństwa energiczną ochronę przed zamachami wrogów zewnętrznych, oraz przed zamachami żywiołów przeciwnarodowych w kraju.

b) *Ustalić kontrolę opinii publicznej nad polityką władz kościelnych i zachowaniem się obywatelskiem duchowieństwa*, której to kontroli ze strony ogółu podlegać muszą wszystkie instytucje narodowe;

c) uznając zgodność naszej polityki narodowej z polityką Kościoła, o ile ta ma na celu jedynie obronę i szerzenie katolicyzmu, przeciwdziałać uzależnieniu naszych spraw narodowych od widoków polityki kościelnej, które związku bezpośredniego z powyższym celem nie mają;

d) powołać duchowieństwo do jaknajszerszej pracy narodowej w szeregach obywatelskich wspólnie z innymi członkami społeczeństwa, pozostawiając Kościołowi rolę odrębnego czynnika politycznego tylko w sferze spraw religijnych“.

Taka jest treść paragrafu 9, określającego stosunek stronnictwa do Kościoła. Po przeczytaniu i zanalizowaniu tego paragrafu można łatwo zrozumieć wszystkie napaści i naganki na duchowieństwo katolickie, stosowane w organach endecji. Przecież należy „ustalić kontrolę“ nad polityką władz kościelnych, należy „przeciwdziałać uzależnieniu naszych spraw

narodowych od widoków polityki kościelnej“, należy skierowywać politykę kościelną na tory czysto narodowe, a więc odrzucić wszelką myśl o unji i t. p. Jeżeli zaś ktoś idzie wbrew programowi, to choćby był najwyższym dostojnikiem Kościoła, choćby był udekorowany orderem Orła Białego i Krzyża Walecznych jak biskup Łoziński, choćby był Nuncjuszem Papieskim, nic to, endecja wypowiada mu walkę... Znika wtedy poszanowanie dla swych Pasterzy, znikają tak często manifestowane uczucia katolickie, występuje natomiast nieubłagane „ausrotten“. Ofiarą tej zasady są dzisiaj ks. biskup Łoziński i ks. biskup Matulewicz. Nie wątpimy, że z biegiem czasu jeszcze ktoś przybędzie...

Czy ustaną te napaści? Sądzę, że nie. Program partii tego wymaga i z tej racji muszą być usunięte wszelkie względy ludzkie i religijne.

A więc na stos... — — — — —

Z tego cośmy dotąd powiedzieli dadzą się wysnuć następujące wnioski:

1) Duchowieństwo polskie rozpoczyna reflektować się i poddawać rewizji swoją dotychczasową działalność i stosunek do Nar. Demokracji.

2) Pobudką do tych refleksyj był przedewszystkiem projekt odebrania ziemi kościelnej, ukuty w gabinetach Zw. L. Narodowego, następnie uprzykrzenie sobie stałej kontroli, roztaczanej przez ów Związek.

3) Daje się zauważyć początek walki pomiędzy duchowieństwem a endecją.

Tak, początek walki między dotychczasowymi przyjaciółmi. Gdyby endecja nie zdradziła duchowieństwa w sprawie ziemi — możebyśmy tego początku tak rychło nie oglądali, możeby endecja była stroną zaczepną, jak to było dotychczas; dzisiaj role się zmieniają — duchowieństwo przybiera postawę zaczepną i nawet groźną... Końca walki dzisiaj przewidzieć trudno. Czas pokaże. Dzisiaj tylko można skonstatować fakt wycofywania się polskiego duchowieństwa z szeregów endecji z uczuciem człowieka, którego za wierną służbę obdarzono... szturchańcami lub kijem.

W. H.

Granica duchowa.

Prof. Zdziechowskiemu, indywidualności prawdziwie nieprzeciętnej wśród profesorów wskrzeszonego uniwersytetu wileńskiego, należy się zaszczyt zwrócenia uwagi naszego ogółu na istnienie *granic duchowych* między krajami, które się znalazły dziś w obrębie Rzeczypospolitej Polskiej. Nie jest to oczywiście ani odkrycie, ani wynalazek, bo początkami swego powstania owe granice duchowe sięgają czasów najdawniejszych, prawie niezbadanych jeszcze przez historjografję. Niemniej wielką jest wobec kraju i jego mieszkańców zasługą przypominać im prawdy dawne, stare, lecz częstokroć zapomniane lub umyślnie nawet zamilczane przez współczesnych.

Prof. Zdziechowski w swym głośnym już szkicu, poświęconym Władysławowi Syrokomli, wskazał tylko na jedną granicę duchową między Litwą—Białorusią a Polską, jaką stanowi odrębne tu i tam zrozumienie twórczości Kondratowicza. Ale czy taka granica jest jedyną? Oczywiście nie! Z natury rzeczy jedną może być i jest granica fizyczna między dwoma jakimiś obszarami, ale granic duchowych może być i najczęściej bywa znacznie więcej, jako że świat ducha za-

wiera w sobie niezliczone możliwości wzajemnych ustosunkowań i kombinacyj. Owóż o paru jeszcze innych granicach duchowych, dzielących nasze ziemie od Polski rdzennej pomówimy niżej.

Twórczość literacka w życiu ludzkości nie jest czemś całkowicie wyodrębnionem, odosobnionem. Stanowi ona tylko cząstkę przejawów duszy ludzkiej, zaledwie ułamek dorobku twórczego narodów. Zostając tak w ścisłym związku pokrewieństwa z całością życia ludzkości i narodów, *a priori* pozwala ona uczynić nam wniosek, że w innych—poza literacką—dziedzinach *również* muszą istnieć różnice, a więc i granice duchowe. Tak muszą one koniecznie być np. w ocenie zjawisk historycznych, w upodobaniach artystycznych, w ujmowaniu zagadnień społecznych, w obyczajach...

Szczególnie jaskrawie występuje to jednak w ocenie wypadków historycznych. Weźmy tak dobrze znany z historii polskiej wypadek, jak *uczta Wierzyńska*... Gdy Koroniarz czyta jej opis z rozrzwieniem, zachwyca się hojnością arcybogatego krakowianina, żałuje że dziś podobne uczytu już się nie odbywają, — spolszczony Litwin czy Białorusin odczuwa tylko lekceważenie względem rozrzutności niemądrej, ambicja Wierzyńska wydaje się mu nadmiernie głupią, a jego pomysł ugaszczania królów sąsiednich polskiem złotem wtedy, gdy lud polski pogrążony był w ciemnocie i zaniedbaniu, budzi duży niesmak, jeśli nie pogardę. Albo znowu taki fakt historyczny: *Ossoliński postępujący do papieża*, umyślnie gubi na bruku rzymskim szczerozłote podkowy, sypie złotem na wsze strony... Obrazek ten Koroniarza rozczuli do łez, w sercu jego wywoła szczerzy zachwyty, wzbudzi chęć ujrzenia czegoś podobnego w życiu choć raz przed śmiercią.. Natomiast autochton Litwy lub Białorusi, mówiący z dziada pradziada po polsku i za Polaka dziś się uważający—powie na to: magnacka fanfaronada! ot błazeństwo! głupota! Gdzie u tych ludzi była głowa! gdzie rozum! Co Polsce da to takie rozbijanie się wielkopańskie na bruku stolic europejskich! Mając takich dyplomatów i senatorów, nic dziwnego, że Polska musiała upaść!

Również szarża ułańska pod Somo-Sierrą na Hiszpanów, broniących wolności swej ojczyzny przed imperjalizmem Bonapartego, jest takim probierzem dla ustalenia granic duchowych między Polską a Litwą i Białorusią.

Gdzie trzy wyżej przytoczone fakty historyczne nie wwołują już zachwyty, a budzą przeciwnie ostrą krytykę, *jest to znakiem, że stanęliśmy w innym kraju, w innym klimacie psychologicznym, wśród ludzi inaczej czujących, w inny sposób do ojczyzny przywiązanych*.

Niech nie próbują Koroniarze przeczyć temu, że im się podobają te barwne obrazki z dziejów Polski szlacheckiej. Podręczniki szkolne, wydawnictwa ludowe, reminiscencje świadczą, że i *uczta Wierzyńska* w Krakowie i wjazd Ossolińskiego do Rzymu, i szarża ułańska pod Somo-Sierrą w oczach polskich należą istotnie do najdroższych, najpiękniejszych i najmilszych wspomnień z życia b. Rzeczypospolitej. Oczywiście nie trzeba dowodzić, że wesele krakowskie byłoby zjawiskiem zgoła niemożliwym na tle wioski podwileńskiej i bodaj jeszcze na miejscu właściwym jest w teatrze, nigdy jednak w życiu.. Obcą jest także duszy mazura lub kujawiaka smętna piosenka ludu nadniemeńskiego, odrębnym dlań jego obyczaj. Te granice duchowe tkwią nawet w prawie obyca-

jowem, jakim na Litwie i Białorusi niejedna sprawa z życia rodzinnego lub wiejskiego rozstrzygać się zwykła, a które nie zyskałoby uznania nawet podlasiaka. *Inny kraj, inny klimat psychologiczny!*

Ze szczególną może wyrazistością granica duchowa między Litwą—Białorusią a Polską ujawnia się w sferze stosunku obu stron do wojaczki. Gdy dla Koroniarza jest ona tradycją szlachecką, rzemiosłem najbardziej dostojnym, nawet poezją i zabawą (por. ułan, piosenka, trąbka, koń, nieodłączna Zosia...), mieszkaniac Litwy i Białorusi, mimo swe spolszczenie, patrzy na wojaczkę jak na najbardziej przykrą konieczność, nieszczęście, nie odczuwając w niej bodaj ani krzty poezji, chociaż odwagi i wytrwania mu wcale nie braknie, a swój kraj ojczysty kocha bardzo głęboko. Na Litwie i Białorusi ludzie inaczej czują, niż w Polsce, w inny, niż Koroniarze, sposób do ojczyzny są przywiązani.

Te granice duchowe istnieją już tak dawno i tyle ewolucyj dziejowych przetrwały, że chyba sama natura troszczy się o ich zachowanie.

Tutejszy.

Emancypacja socjalistów wileńskich.

Do liczby malkontentów z centralistycznych zakusów Warszawy, o których wspominaliśmy w zeszłym numerze, przybyła wileńska organizacja P.P.S., która postąpiła najradykałniej, bo wystąpiła całkiem z partii, tworząc samodzielną organizację pod nazwą Związku Socjalistycznego „Praca”.

Garstka *towarzyszy* pozostała wprawdzie wierna sztandarowi P. P. S., ale sądząc z nazwisk wybitniejszych jej przedstawicieli, z socjalizmem wogóle mało ma ona wspólnego.

Co prawda i od przywódców secesji trudno było spodziewać się tak radykalnego kroku, bowiem od dłuższego czasu, a zwłaszcza od chwili złania się dawniej P.P.S. L. i B. z P.P.S., co nastąpiło niezwłocznie po wcieleniu Wileńszczyzny, polską organizację socjalistyczną w Wilnie ogarnął taki wyraźny nastrój nacjonalistyczny i unifikacyjny, że zdawało się, iż lada moment przelicytuje ona pod tym względem Ligę Robotniczą. Już sam fakt zerwania z dawną nazwą, zrezygnowania z samodzielności i podporządkowania się Warszawie był wielce wymowny.

Warszawa jednak nie umiała ocenić tego poświęcenia i traktowała organizację wileńską w sposób tak lekceważący, iż ta po bezskutecznych próbach wpłyńcia na postawę Centralnego Komitetu Wykonawczego, nie miała innego wyjścia, jak gremjalnie wystąpić z szeregow P.P.S.

Bezpośrednim powodem rozłamu było zachowanie się p. Pławskiego, narzuconego podobno Wilnu przez C. K. W. i stale przezeń popieranego, mimo jednogłośnego żądania organizacji Wileńskiej, aby p. Pławski złożył swój mandat poselski. Doszło w końcu do tego, że C. K. W. *mianował* skład Komitetu Wileńskiego w osobach p. p.: Bednarowicza, Czyża, Jakobiniego i Żejmy z przewodniczącym p. Stażowskim na czele, który dla pełnienia tej funkcji został przez P. P. S. sprowadzony aż z Przemyśla (Napływ do nas kulturtregerów galicyjskich przybiera, jak widać, rozmiary zastraszające!). Ów p. Stażowski, jak twierdzą secesjoniści, rozpoczął swą dzia-

łałość na gruncie wileńskim od oświadczenia, że w stosunku do członków opozycji będzie prowadził „wywiad” i że może z nimi zrobić to, co w swoim czasie spotkało Porankiewicza z Poznania. (Jak wiadomo Porankiewicz był aresztowany pod zarzutem bolszewizmu i został wydany Rosji, skąd po pewnym czasie uciekł).

Najlepiej zresztą charakteryzuje stosunki partyjne oświadczenie p. Al. Zasztowta, jednego z przywódców secesji, z d. 30 marca, przesłane Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu, które podajemy poniżej niemal dosłownie:

„Na tle wyczuwanych przezemnie rozbieżności pomiędzy mojem, a oficjalnym stanowiskiem Partji w ujmowaniu szeregu zagadnień programowych i taktycznych, od dłuższego już czasu usunąłem się od bardziej czynnego udziału w życiu Partji i unikałem zasadniczo wszelkiej jej reprezentacji:

I ten luźny jednak stosunek, z którym godziłem się na razie, począł mi ciążyć coraz to bardziej, odkąd prawa Organizacji Wileńskiej, zignorowane przez C.K.W., dały podstawę nie tylko niesubordynacji moralnej posła Pławskiego, utrzymującego swój mandat poselski wbrew woli wyborców, ale i całej smutnej historii rozbijania przezeń pod osłoną C.K.W. dzieła, dokonanego długole nim zbiorowym wysiłkiem, włącznie do całkowitego rozprzężenia i ostatecznego zabagnienia stosunków partyjnych na gruncie wileńskim.

Duszając się literalnie w tej atmosferze fałszu, intryg i wyzyskiwania przezeń najniższych instynktów otoczenia, od pół roku kilkakrotnie zgłaszałem swoje ustąpienie z Partji, cofane jedynie pod naciskiem Organizacji Wileńskiej, ludzkiej się co do ostatecznego wyniku rzeczy.

Przed miesiącem, po blisko dwuletniej kampanji pokątnych knoń i oskarżeń mnie przez p. Pławskiego i Co raz o zdradę rewolucyjnego stanowiska, to znowuż w przeciwieństwie—o bolszewizm, po insynuowaniu mnie u przełożonych władz moich w Urzędzie Bezpieczeń i systematycznym podkopywaniu pracy mojej w Kasie Chorych w momentach dla niej najcięższych, wreszcie ostatnio po bezpośrednim zadenuncjowaniu mnie przez posła Pławskiego w Ministerjum Pracy i Op. Społ. o działanie na terenie Kasy w porozumieniu i na rzekomą korzyść bolszewików, — po tem wszystkiem w d. 29 lutego b. r. zostałem zawieszony przez C. K. W. w prawach członka i oddany pod Centralny Sąd Partyjny pod zarzutem rzekomych występów „przeciw dyscyplinie partyjnej i niewrzuśzonemu stanowisku Partji, odrzucającej wspólny front z komunistami”.

Zawieszenie wspomniane przyjąłem do wiadomości i na sąd się zgodziłem, wyrażając jednak ufnosć, że charakter oskarżenia, rozsiewane na tem tle pogłoski i groźba mi ew. odpowiedzialność polityczna dają mi chyba gwarancje moralne, że sprawa nie ulegnie zwłoce i będzie rozpatrzona w pierwszej połowie marca. Tymczasem—oto minął już miesiąc, i nie tylko sąd się nie odbył, ale żadne porozumienie ze mną w sprawie terminu nie zostało nawiązane.

Ten stan zgola już trudnych do zrozumienia stosunków w Centrali, zakończony ostatnio mianowaniem Komitetu Wileńskiego w składzie osób częściowo nowych na terenie naszym, w większości zaś zasłużonych w dziele rozbijania Organizacji Wileńskiej, przekreśla już resztki możliwości netylko politycznej ale i moralnej — pozostawia przezemnie nadal w szeregach Partji i zmusza mię prosić C. K. W. o taskawe wykreślenie mnie z listy P. P. S.”

Jak widać z powyższego listu, względy osobiste odegrały przy rozłamie nie małą rolę. Musiały jednak istnieć i głębsze przyczyny, skoro secesja „pociągnęła za sobą i masę robotniczą. Jedną z nich zapewne było niezadowolenie z nacjonalistycznego i centralistycznego kursu polityki P.P.S. O tem można wnioskować na podstawie programowej odezwy secesji, w której czytamy między innymi:

„W stosunkach wewnętrznych, przywiązując olbrzymią wagę do usamodzielnienia społeczeństwa i szerokiego rozwoju samorządów prowincjonalnych, miejskich i gminnych, Z. S. P. dążyć będzie do autonomicznego wyodrębnienia dzielnic i krajów, stanowiących niejako całość o silniej zarysowanych odrębnościach, zwłaszcza pod względem gospodarczym,

a w pierwszym rzędzie do szerokiej autonomji naszego kraju. Budojąc sprawę wyzwolenia proletariatu na wspólnej, solidarnej i jednolitej akcji klasy robotniczej bez względu na jej różnice narodowościowe, Zw. Socjal. „Praca” zwalczać będzie najdecydujniej wszelkie przejawy nacjonalizmu w szeregach robotniczych i dążyć będzie do rozstrzygnięcia spraw narodowościowych zgodnie z ideałami socjalizmu i w myśl interesów klasy robotniczej”.

Jeżeli nowe stronnictwo pozostanie wiernem powyższym wskazaniom i będzie je stosowało w praktyce, może ono odegrać na naszym gruncie doniosłą rolę, jako czynnik prawdziwie obywatelski, będący wyrazem niesfałszowanym tendencji rozwojowych kraju.

K. W.

W związku ze sprostowaniem Kuratorjum Okręgu Wileńskiego, zamieszczonem w Nr 7 „Przeglądu Wileńskiego”, zasięgnęliśmy u źródła informacji co do podanych przez nas a zaczerpniętych z „Życia Ludu” faktów.

Jak się zdaje, Kuratorjum mylnie zostało poinformowane przez swego wizytatora o przebiegu wizytacji, ponieważ świadkowie kategorycznie twierdzą, iż pan wizytator rzucił pytanie w formie: „jaka jest stolica Litwy”, a nie w formie: „jaka jest obecnie stolica państwa litewskiego?”. Również zachowanie się p. wizytatora pod względem form towarzyskich pozostawiało wiele do życzenia.

Co się tyczy ogólnej charakterystyki postępowania Kuratorjum względem szkół litewskich, to ta lub inna jego ocena jest rzeczą tak subiektywną, że do sprostowania urzędowego, zwłaszcza ze strony zainte resowanej, całkowicie się nie nadaje.

Z mego notatnika.

Prasa wileńska i jej czytelnicy.

P. Jot w „Dzienniku Wileńskim” przytacza ciekawe cyfry, ilustrujące wymownie poziom inteligencji czytelników wileńskich. Pewna instytucja oświatowa, posiadająca wypożyczalnię książek ułożyła rejestr wypożyczonych książek, sporządzony według zapotrzebowań poszczególnych autorów. Na czele spisu figuruje Rodziewiczówna — 1428 zapotrzebowań, gdy Mickiewicz był żądany zaledwie 16 razy, Krasieński zaś — tylko 6. Słusznie ironizuje p. Jot, że jest to także swego rodzaju plebiscyt, ale czy można się dziwić jego wynikom, gdy się zważy, że ten czytelnik karmi się codzienną strawą z „Expresu” i „Dziennika Wileńskiego”?

*

Nie chcę być gołosłownym. Jak niewybrednym pokarmem częstuje swych czytelników „Dziennik Wileński”, świadczy o tem artykuł wstępny w tymże numerze p. t. „Pod hasłem destrukcji” omawiający ostatni numer „Przeglądu Wileńskiego”. Że nasze rozważania na temat „tutejszości” nie trafiły do przekonania redakcji „Dziennika Wileńskiego” — jest to rzecz całkiem zrozumiałą, że p. J. O. uważa nas za renegatów, odstępców, nawet zdrajców—i to jest najzupełniej w porządku, ale co ma wspólnego z separatyzmem litewsko-białoruskim masonerja i międzynarodowe żydostwo, których to sił tajemniczych ma być nasze pismo ślepem narzędziem,—tego, nie zrozumie żaden umysł, choć odrobinę krytyczny, mimo misternych wywodów p. J. O., że decentralizacja

w państwie ma na celu i prowadzi do rozkładu pierwotnej komórki społeczeństwa—rodziny...

Ale organowi zakrytych i szewców wileńskich nie chodzi bynajmniej o to, by go rozumiano. Jego zadaniem przeciwnie jest oślepianie swych czytelników, co mu się udaje istotnie znakomicie, i w rezultacie—„Straszny dziadunio” jest o wiele popularniejszy od „Pana Tadeusza”.

*

Zresztą „Dziennik Wileński” nie stanowi rażącego wyjątku. Któż dziś reprezentuje prasę polską w Wilnie? Czytamy w pismach: „Ukonstytuował się definitywnie Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Wilnie. Na prezesa powołano p. Konstantego Bukowskiego, na członków Zarządu p. p. St. Kodzia i B. Wścieklicę”. To dosyć. Nie kładźmy kropki nad *i*. Czemuż jednak pominięto p. Władysława Życką, która się tak wślawiła swemi sprawozdaniami z odczytów prof. Zdziechowskiego?

*

I jeszcze jedna godna kandydatka: p. W. Stanisławska. Posłuchajmy, jakie zdania wygłasza ta reprezentantka prasy polskiej w Wilnie. Krytykując ostro (zresztą najzupełniej słusznie) na szpaltach „Dziennika Wileńskiego” metodę obcinania krótko drzew, stosowaną przez ogrodnika miejskiego p. Balukasa, p. Stanisławska pisze dosłownie: „ale p. Balukas jest Litwinem, a więc cudzoziemcem, a więc piękno Wilna nic go nie obchodzi”. Wygląda to na paradoks, ale któż ma większe prawo tak twierdzić, niż osoba, która dobrowolnie porzuciła zadymioną Łódź, by napawać swój wzrok widokiem malowniczych wzgórz Antokolskich?

*

A gdy prasa, która ma być kierowniczką opinii, przemawia w ten sposób, czegoż można oczekiwać od przeciętnego czytelnika? To też coraz mocniej w świadomości ogółu polskiego zaczyna się utrwalać pogląd, że Litwini stanowią w Wileńszczyźnie i w przastarej stolicy Litwy, w grodzie Gedymina—element napływowy, coś w rodzaju „uciążliwych obcokrajowców”, z którymi należy postępować zgodnie z ową nomenklaturą pruską i związaną z nią ściśle polityką haka-tystyczną.

Na tem tle staje się całkiem naturalny fakt, który przytacza w ostatnim numerze „Życie Ludu”. Oto podczas redukcji pracowników kolejowych, w liczbie usuniętych za złe sprawowanie, niedbalstwo, nadużywanie alkoholu i t. p. znalazł się wieloletni kolejarz Maciej Łunecki, któremu jako powód pozbawienia go posady wytknięto brak lojalności względem państwa polskiego, polegający na tem, że swe dzieci posyła do szkoły litewskiej... „W Polsce każdy lojalny obywatel polski — oświadczył p. inżynier — winien kształcić swe dzieci w szkole polskiej i jeżeli tylko przyniesie mi pan dowody o wycofaniu swych dzieci z gimnazjum litewskiego i umieszczeniu ich w szkole polskiej;—będzie pan u mnie pierwszym kandydatem na powtórne przyjęcie na służbę”.

Można ręczyć, że ten p. inżynier jest pilnym czytelnikiem „Dziennika Wileńskiego”.

Licz.

Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej.

(Echa rozłamu P. P. S. — Lewica polska a hakatyzm. — Sprawa gminy narodowościowej. — Kongres wszechświatowy mniejszości narodowych — Wilno po przez pryzmat artystów żydowskich i polskich).

„Unzer Gedank” omawia obszernie rozłam jaki się dokonał w wileńskiej organizacji P. P. S., poczem stwierdza:

„... Ignorowanie spraw miejscowych, centralistyczna polityka przynieść może nieoczekiwane rezultaty szczególnie na Kresach, gdzie ruch socjalistyczny jest swoisty. Nad tem winna się zastanowić P. P. S. Partja ta musi zaprzestać głoszenia hasel samorządu dzielnicowego, które przeznaczone są na eksport zagranicę, a prowadzenia u siebie w Polsce tej samej polityki w stosunku do Kresów co i prawica. Niechaj P. P. S. przystąpi do realizacji przyjętych rezolucyj, dotyczących sprawy narodowościowej, które na razie są tylko na papierze, a uniknie takich niespodzianek jak rozłam wileński”.

W „Tog'u” p. S. Mendelsow poddaje ostrej krytyce organizatorów zjazdu nauczycieli szkół powszechnych w Wilnie.

Organizatorowie zjazdu, składający się we lwiej części z wyzwolenców i pepesowców, nie szczędząc w rozmowach prywatnych komplementów dla szkolnictwa żydowskiego, uchylili się od udzielenia głosu przedstawicielowi Związku nauczycieli żydowskich celem powitania Zjazdu.

P. Mendelsow, mówiąc o tego rodzaju wychowawcach ludu z sarkazmem, dowodzi, że metody stosowane przez tak zwanych lewicowców polskich w stosunku do zagadnień żydowskich są hakatyzmem z odwrotnej strony.

Jak dzienniki informują, wszystkie partje żydowskie w Wilnie wypowiedziały się za narodową Gminą Żydowską, wyrażając swój protest przeciwko narzucaniu żydostwu wileńskiemu gminy religijnej.

Ostatnie plenum Gminy żydowskiej pod przewodnictwem p. Wygodzkiego przyjęło właśnie rezolucję w sprawie zwołania zjazdu Gmin Żydowskich Wileńszczyzny, celem opracowania jednolitej rezolucji w tej sprawie.

Wileński dziennik „Di Cajt” omawia artykuł wydrukowany w „Dniu Kowieńskim”, poświęcony kongresowi wszechświatowemu mniejszości narodowych, którego myśl powstała w Austrii. Pismo, kreśląc stan mniejszości narodowych w Litwie Kowieńskiej, szczerze przyklaskuje temu projektowi, wskazując na to, że każdy protest, każda próba samoobrony ze strony mniejszości uważane są przez czynniki miarodajne w Kownie za akcję antypaństwową.

To też wynurzenia „Dnia Kowieńskiego” dają asumpt pismu żydowskiemu do następującego pouczenia:

„Domorośli patrjoci endeccy, którzy zwalczają tak brutalnie traktat mniejszości narodowych u siebie w kraju, powinni się uważnie przysłuchiwać głosom swych braci Polaków w sąsiedniej Litwie”.

W warszawskim czasopiśmie „Bicher Welt” znajdujemy dwa nader interesujące artykuły p. t. „Książki artystyczne o Wilnie” pióra wileńskiego literata p. Mojżesza Szalita.

Autor, wielki miłośnik grodu Giedyminiowego, dając syntetyczny przegląd wszystkich niemal prac, dotyczących Wilna, zarówno autorów żydowskich jak i polskich, w konkluzji stwierdza, że

„poeci żydowscy widzą Wilno o wiele pełniej, aniżeli polscy, którzy wrażliwi są na to tylko, co jest polskie”.

Poeci żydowscy widzą Wilno obiektywnie, wszechstronnie, widzą je w ogólnym kolorycie, przez cały różnorodny pryzmat“.

W końcu swej cennej pracy krytycznej p. Szalit wskazuje na doniosłość wydawnictwa w języku żydowskim „Przewodnika po Wilnie“ i artystycznego albumu.

Dodamy, że sprawą tą winno się zainteresować przede wszystkim żydowskie Historyczno-Etnograficzne Towarzystwo.

Miecz. Gold.

Bibliografia.

Julja Wichert-Kajruksztis'owa. Błędne ognie.

Poezje. Wilno 1924.

Właściwością natury ludzkiej jest pragnienie przelewania swych uczuć i wrażeń, w mowie, której wyrazy układają się inaczej, niż codzienne słowa. Jakiś tajemny odruch, odpowiadający może rytmicznemu tętnu krwi w żyłach, czy poszumowi fal, czy cwałowi rumaka, kazał człowiekowi układać wyrazy odpowiadające jego myślom w kadencję, o powtarzających się sylabach. Wywoływało to wrażenie fizyczne, kojące lub podniecające, ale zawsze nawiązywało kontakt z głębinami istoty ludzkiej, tak ściśle związanej z jej fizjologicznymi objawami.

Od istnienia człowieka, próbował on onomatopei, nadającej rytm jego ruchom tanecznym lub pochodom wojennym, od wieków czcił on zdarzenia i uczucia w mowie związanej i wysoką przywiązywał wartość do jednostek posiadających dar poezji. Bywały epoki, gdy poezja stanowiła *nervus rerum* życia społecznego i politycznego, i najszacowniejsze pomniki ubiegłych epok pozostały nietknięte i doszły naszej wiadomości, tylko dzięki wierszowanej ich formie, łatwiej wpadającej w pamięć.

Tak więc się dzieje, że kto chce wzruszyć i pociągnąć ku sobie, zainteresować i wypowiedzieć się z głębin swej psyche, ten przemawia do bliźnich ubierając swe uczucia w rymy. Jest to jedyna forma, w której bezkarnie wolno autorowi mówić do publiczności bardzo szczegółowo i długo o sobie. Musi się więc starać, by to czynić zgrabnie i nie zanadto obficie.

Wziąwszy do ręki duży, 148 str. zawierający zbiór wierszy p. Wichert-Kajruksztisowej, jest się cokolwiek przerażonym tą obfitością rymów. Łatwość ich dobierania nie powinna unosić autorów do nadprodukcji w tym kierunku. Tyle się pisze teraz wierszy, tak śmiało, oryginalne mają pomysły formy i treść, że trudno czemś przykuć i zwrócić uwagę, a sama chęć utrwalenia w druku swych utworów nie jest wystarczającym powodem do ogłaszania ich w druku.

W licznych szeregu wierszy, zawartych w zbiorze *Błędne Ognie*, są rzeczy o bardzo rozmaitej wartości: jeśli np. porównamy wiersz: „*Marzyć, tak, marzyć... uśpić swe tęsknoty, Stopić się w ciszy i piękna zachwycie, Stłić się w lazurach jak ten sen mój złoty, Rzucając z ducha ziemskich pęt spowicie, Być choć na chwilę cudnych śnień królową... Być wszystkim... wszystkim... lecz tylko nie sobą...*” dobry i nastrojowy, (nb. *rzucając pęt spowicie, nie rzucając*), z takim np. „*Dziewico, ty zadrżysz? gdy śmiało, zuchwale, Po wian dziedzictwa sięgnie przeniewierca, Cynik*

wytarty w marnotrawnym szale, Aby jak wąż się grać u twego serca“.

To musimy się dziwić, że jedno obok drugiego umieszczono, bo to drugie nie jest poezją, ani w treści, ani w rytmie. Czasami p. K. rymuje dowolnie np. *jęk i bezdeni męk* (!) co jest niedopuszczalne, o ile się ktoś nie sili na futurystę, czego próbki mamy zresztą w *Zielonym wierszu* (z czerwonej teki). Kiedy się poetce „lono wiosni, w oczach ma zielono ckliwo jej się słodzi koło serca i jest jak rura ssąca...” (!!!).

Stanowczo o wiele lepsze są wszystkie liryki o nastroju religijno-filozoficznym, jak np. *Są takie chwile, Nigdy, Spotężmy głos, Kocham cię życie* i inne w tym rodzaju. Poetka chce „być tonem piękna w wszechstworzenia chórze“, i „podniebne loty swej stęsknionej duszy, nieść w pożar i walki zarzewie, by nieść, choćby krwią zlany, „męczeństwa prawdy znak“. Jakkolwiek poetka odczuwa naturę dopyć po literacku i intelekt, refleksyjność, i odgadywanie przeznaczeń ludzkich, zabija w niej bezpośredniość wrażeń zewnętrznych, jednak *Deszcz dzwoni j Biała cisza* są nastrojowe i dobrze oddają wrażenia piszącej.

Ostatni ze zbioru *Góra zamkowa*, jest pięknym i w szlachetnym tonie utrzymanym wierszem, z odczuciem plastyki i duchowej wartości starych pamiattek.

Ponieważ to pierwszy występ p. Kajruksztisowej pod otwartą przyłbicą na niwie poetyckiej, więc dziwić się nie można zbyt, że wszystkie dzieci swego ducha, (równie liczne jak dzieci istotne, (sądząc z dedykacji) pragnęła przedstawić publiczności. Ale to błąd; o ile bowiem nie można ukrywać rodziny, o tyle płody ducha czasami należy zachować w tece i poddać niejednej surowej selekcji. Lepiej na tem wyjdzie sam autor czy autorka, bo lepsze utwory, nie ztracą się wśród gorszych, a czytelnik chętniej weźmie do ręki *jakość* niż *ilość*.

Mir.

K Swajak. Maja lira. Wilnia 1924. Str. 111.

Pseudonim „*K (azimir) Swajak*“ spotykamy w prasie białoruskiej (zrzadka w polskiej) mniej więcej od lat pięciu. Skala możliwości pisarskich u Swajaka wcale szeroka: od artykułów publicystycznych, przez obrazki w prozie, sięga ona utworów lirycznych, gdzie może najbardziej poeta jest sobą. Zbiorek *Maja lira* zawiera przeważnie poezje, nieliczne zaś fragmenty nierymowane, znalazły się tu dla bliźkiego z poezją pokrewieństwa. Wśród utworów Swajaka są rzeczy już drukowane i ukazujące się po raz pierwszy. Poprzedza je wstęp, — wiersz bardzo ważny dla prawidłowej oceny dorobku poetyckiego Swajaka, — zatytułowany: *Miest pradmowy*. Dowiadujemy się zeń, że wiersze dla autora nie są ani czczą zabawą, ani wyciąganiem ramion ku sławie... Poeta pisze, *bo płaczą serca*. Ujmuje on czytelnika i krytyka swą skromnością:

Złazyc piesniu ledź umieju,

jednak pewien mus twórczy wkłada mu pióro do ręki:

Serca mnie abniom pyłaje.

Końcowy zwrot wiersza wstępnego byłoby lepiej, jeśliby był zaniechany. Zbytek w nim pokory. Wszak czytelnik przeciętny nie może być promowany na sędziego kilkudziesięciu wierszy o treści b. różnorodnej! My też prosimy Swajaka, by nie szukał w sprawozdaniu naszym ściśle fachowych uwag, a wartość jego oceniał tylko według autory-

tetu, jaki w oczach jego mieć może krytyk przygodny, acz dość wnikliwy i ważący swe słowa.

Zacznijmy od tych wierszy, które są ciężkawe, gdzie słowo sunie, jak po grudzie... Takie wrażenie sprawiły na nas: *Soncu uzgornamu...*, *Ajczy ny miłaj...* *Serca*, mimo że niejeden treść ma głębką. Całkiem bodaj nie udały się autorowi początek *Pieśnia na psalm 130*, której wytknęlibyśmy niejasność, sztuczność... Szwankuje też rym: *słaby — przyzwau-by*... Znacznie lepiej się przedstawia *Pieśnia na psalm 62*. Białoruskie *pragnu* brzmi jednak jak nieudatny polonizm. Ciekawi jesteśmy, na czym Swajak opiera używanie czasownika *bagasła-wić* zamiast *blagostawić*... Z prawdziwą przyjemnością po tych próbach miernej wartości witamy bardzo ładny wierszyk *Szczaście*, rodzaj najlepiej odpowiadający duchowi mowy białoruskiej. Kilka poezyj w prozie, zabłąkanych w tej książeczce, ma swe duże zalety, jednak bynajmniej nie doradzają one autorowi koniecznie zawiesić swą lirę i odtąd wyłącznie pisać w prozie, jak się słyszało tu i owdzie. U Swajaka dusza niewątpliwie poetycka, ale dotychczas nie znalazła ona wyrazu doskonałego. Skoro jednak, jak mniemamy, urodził się poeta, trzeba mieć nadzieję, że wreszcie i wyrazu mu nie zbraknie.

Pelen patosu patriotycznego jest wiersz *Na gadawiny niezależnej Białarusi. Zabłanie sonca*... jest to 1001-y warjant tematu dość oklepanego w piśmiennictwie białoruskim, a poeci przecież winni mieć ambicję opracowywania tematów nowych... Dość poprawny a ładny jest wierszyk, *Oj na Ruś dy Biełu*... mający coś w sobie archaicznie ludowego. Wróży on nadejście chwili, gdy będzie *Ruśniak Maskoucu da Lechitki swatam!*... Nęcąca perspektywa... Do tejsze kategorii wierszy odnieść należy inny: *O, kraj moj rodny*. W wielu wierszach, zwłaszcza treści patriotycznej, spotykamy typowy u Białorusinów nadmiar łzawości. Niech autor nie usprawiedliwia się wyjątkową surowością doli Białorusina, bo poezja winna być artystycznym, a nie fotograficznym odbiciem rzeczywistości i celować ma zawsze poczuciem umiaru i smaku.

Grupę wierszy, oznaczonych III, cechują lekkość, żywa gra wyobraźni, udział postaci mitologicznych, tak klasycznych, (Eros, Psyche), jak dawnych słowiańskich (Dażboh, rusałki). Swajak, jak widać z szeregu wierszy, dobrze zna duszę dziewczyny białoruskiej, w której naiwność przeplata się z płochliwością, towarzysząc szczególnie zaistnieniu w sercu kochania.

Najwięcej mitologii jest w szkicu nastrojowym *Na wosień*. Przewijają się tu przed nami, oprócz Dażboga, jeszcze Strybog, Roda (?), Moksza (!), Swarog, Piarun i jakiś napót pogański Piatro... W tworze *Tajnicu ducha*... Swajak daje wyraz swym roz-

terkom, rodzącym się w niemocy, jaka wkrada się nieraz do serca lirnika. Notujemy tu nowotwór kombinowany *Ruśbieła świataja*. Do najlepszych w *Majej lirze* wierszy należały *Czamu mnie markotna*. O ile rzetelnym jest w swym liryzmie *Testament*, o tyle wygląda na pretensjonalną robotę *Kawernia*, mocno przytem nacechowana demagogją.

Oprócz rzeczy oryginalnych, Swajak ogłasza tłumaczenia z Eddy, Niemcewicza...

Są i bajki: niektóre z nich wcale niezłe, jak np.: *Muraszka i gałubka*... Naogół książeczce brakuje wyraźnego podziału treści.

Autorowi *Majej liry* pozwalamy sobie poradzić rozczytywać się między innymi w utworach Syrokomli. To czyniąc, napewno znajdzie on odpowiedź na pytanie: czy i jak ma pisać? Tymczasem niech nie zapomina:

Jak są wiersze i piosnki zabawą zdradziecką.

(Zgon Acerna)

Spectator.

Kun D. Kraujalis. *Traku pilis ir jos likimas Vilnius. „Motus“ 1924 m. str. 23.*

Jest to pierwsza broszurka w języku litewskim poświęcona ruinom trockim. W tłumaczeniu polskim powyższy tytuł brzmieć będzie: Zamek trocki i jego losy. Autor, dzięki jasnemu wyrażaniu się, na 23 stronicach opowiedział dużo ciekawych wiadomości. Oczywiście nie są to jakie nowe rewelacje, wynikające z samodzielnych badań, lecz przeważnie popularyzacja wyniku prac dotychczasowych. Mimo to — broszura ks. Kraujalisa ma wartość poważną, gdyż autor na końcu jej podał i wyjaśnił zebrane przez siebie, nazwy litewskie niektórych wysepek, znajdujących się na jeziorze Trockiem.

Broszurę zdobią dwie ilustracje.

Wł. Sak.

Książki nadesłane do Redakcji.

Askenazy Szymon *Uwagi*. Nakładem księgarni E Wende i S-ka. Warszawa 1924.

Nowa praca prof Sz. Askenazego poświęcona jest polityce polskiej, Niemiec, Austrii, Rosji i Koalicji podczas wojny, podaje genezę odezwy W. Księcia Mikołaja Mikołajewicza i aktu 5 Listopada, szczegółowo omawia rokowania brzeskie, konferencję pokojową w Wersalu.

Praca znakomitego historyka oparta jest na rzeczowych źródłach i dokumentach, z których wiele staje się po raz pierwszy własnością szerokiego ogółu.

Treść numeru: Wspólne niebezpieczeństwo. — W. H. Endecja i duchowieństwo. — *Tutejszy*. Granica duchowa. — K. W. Emancypacja socjalistów wileńskich. — *Licz.* Z mego notatnika. — M. *Goldsztajn*. Przegląd wileńskiej prasy żydowskiej. — Bibliografia.